

WOLYŃ

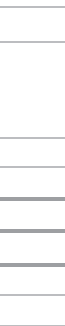
bez komentarza



wywiady radiowe | [wspomnienia ocalałych](#) | dokumenty

WOŁYŃ

bez komentarza



WOŁYŃ

bez komentarza

wywiady radiowe | wspomnienia ocalałych | dokumenty

ZONA ZERO

Okładka: Fahrenheit 451
Zdjęcia na okładce: © Bartosz Klimasiński
Retusz specjalny zdjęcia okładkowego: Andrzej Swat
Szef projektów wydawniczych:
Maciej Marchewicz
Redakcja i korekta: Adam Namięta
Skład i łamanie: Honorata Kozon

Zdjęcia archiwalne:
© Ośrodek Karta; ss.: 127,149, 171, 184, 196, 335
© Narodowe Archiwum Cyfrowe; ss.: 18, 28,29, 38,
53,71, 83, 99, 114, 136
© Agencja Forum/ Marek SKORUPSKI ss.: 207, 220
wikipedia commons s.: 161
Zdjęcia współczesne – © dr. Leon Popek



Reportaże: *Kainowa zbrodnia* Anny Lisieckiej, dziennikarki Programu 2 Polskiego Radia

© 2011 for Polskie Radio S.A.

Wspomnienia wołyńskie, Świadkowie rzezi wołyńskiej, Wołyń 1943 Doroty Adamów-Bielkiewicz

© 2013 for Polskie Radio S.A.

Reportaże: *Persona to ja* Anny Kaczkowskiej; *Burzany i ciernie* Mariusza Kamińskiego i Katarzyny Michalak;
oraz *Zagubione drzwi; Cmentarze i toasty; Opowieść o wsi, której nie ma* Małgorzaty Sawickiej;

© for Polskie Radio – Regionalna Rozgłośnia w Lublinie Radio Lublin S.A.

Reportaże: *Po traumie, Potem bałam się każdego, Raport, Czużeniec* © by Anna Lisiecka

Relacje z archiwum Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu
z siedzibą w Zamościu - dzięki uprzejmości Pani Janiny Kalinowskiej

Relacje z archiwum Pani Ewy Siemaszko – dzięki jej uprzejmości

Cytowane dokumenty pochodzą z książki: *Polska i Ukraina w latach trzydziestych-czterdziestych XX wieku Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych. Polacy i Ukraińcy pomiędzy dwoma systemami totalitarnymi 1942-1945. Tom 4.* Opracowanie naukowe Grzegorz Motyka, Jurij Szapował; Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji RP, Państwowe Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, Instytut Badań Politycznych i Narodowościowych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, Warszawa 2005

Copyright dla projektu
Wołyń bez komentarza:
© for Zona Zero PL,
Sp. z o.o., Warszawa 2016
ISBN 978-83-935847-9-6

Zona Zero Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@wydawnictwofrona.pl

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA



**Wydawnictwo składa serdeczne
podziękowania:**

Pani Dorocie Adamów-Bielkowicz,

Pani Annie Lisieckiej,

Pani Katarzynie Michalak,

Pani Janinie Kalinowskiej,

Pani Ewie Siemaszko,

Panu Leonowi Popkowi,

**za nieocenioną pomoc
przy realizacji projektu
„Wołyń. Bez komentarza”**

**W hołdzie ofiarom
rzezi wołyńskiej,
z szacunkiem i wdzięcznością
dla tych, którzy ranę
i pamięć tragedii
nosili w sobie przez wszystkie
lata zapomnienia**

Redakcja

SPIS TREŚCI

Kainowa zbrodnia	12
Persona to ja	26
Po traumie	40
Szczęście, że zboże było wysokie	45
Potem bałam się każdego	48
Depesza gen. Stefana Roweckiego z kwietnia 1943 r.	51
Dajcie mi Wołynia, miły dajcie dym	71
Raport	76
Trzeci kurhan	79
Czużeniec	86
Relacja ks. Józefa Kuczyńskiego	90
Fragment przesłuchania Lwa Jaśkewycza	93
Miejsce pochówku ojca	96
Mały, zaniedbany cmentarzyk	107
Uratowała mnie ukraińska rodzina Bordunów	108
Uciekłam goła i bosa	110
Szlak nieoznaczonych mogił	116
Samoobrona nie zawsze mogła zdążyć na czas	121
Odezwa Korpusu Obrony Wołynia z 1943 r.	124
W lasach lepiej nie spacerować po ciemku	128
Opowieść o wsi, której nie ma	130
Relacja Zenobiusza	138
Zarządzenie Wołyńskiego Okręgowego Delegata Rządu RP	145
Nawet mamie świeczki nie zapaliłam	148
Uciekajcie w stronę rzeki!	157
W sprawie rozmów z metropolitą Andrzejem Szeptyckim	160
Nocny pogrzeb	162
Relacja Marii Błasiak	164
Relacja Tadeusza Karpety	166
Zagubione drzwi	168
Meldunek „Sobola” do „Orkana”	176
Najdłuższa noc w życiu	177

Województwo wołyńskie

w granicach II Rzeczypospolitej



Województwo wołyńskie



Herb województwa

Stolica: Łuck
 Powierzchnia: 35,8 tys. km kw.
 Ludność: 2,1 mln
 Wskaźnik analfabetyzmu: 47,8%

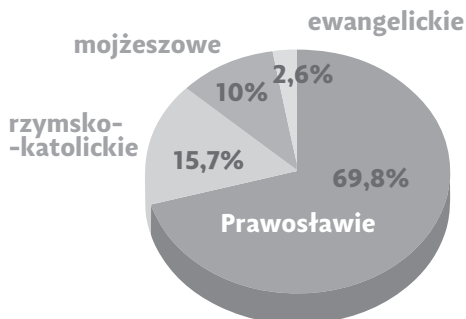


Ludność według deklarowanego języka ojczystego

(w tysiącach poza pierwszą grupą)

1,426 mln	Ukraińcy
346,6	Polacy
205,5	Żydzi
46,9	Niemcy
31	Czesi
23,4	Rosjanie

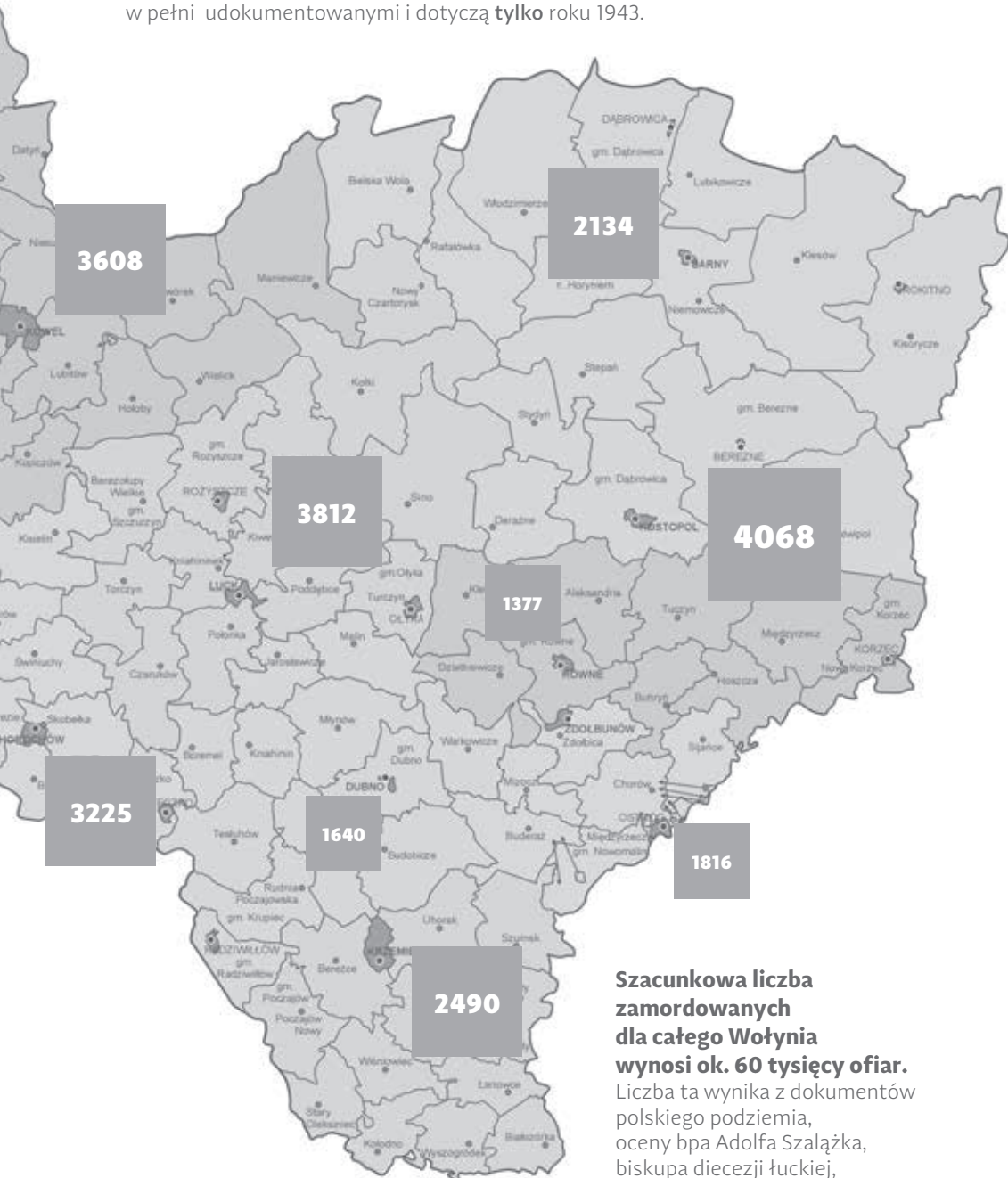
Ludność według deklarowanego wyznania



Źródło: na podstawie Drugiego Powszechnego Spisu Ludności z 1931 r.

POLACY ZAMORDOWANI PRZEZ UPĄ I POLICJANTÓW UKRAIŃSKICH NA TERENIE WOJEWÓDZTWA WOŁYŃSKIEGO W ROKU 1943.

Liczby podane na mapie dla poszczególnych powiatów są liczbami udowodnionymi na podstawie źródeł, w pełni udokumentowanymi i dotyczą **tylko** roku 1943.



Szacunkowa liczba zamordowanych dla całego Wołynia wynosi ok. 60 tysięcy ofiar.

Liczba ta wynika z dokumentów polskiego podziemia, oceny bpa Adolfa Szalążka, biskupa diecezji łuckiej, oraz bilansów ludności obliczanych przez prof. dr hab. Grzegorza Hryciuka z Zakładu Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Wrocławskiego





WOŁYŃ

bez komentarza

Kainowa zbrodnia

Relacja **Ireny Gajowczyk**, ocalałej z rzezi w Hurbach, powiat Zdołbunów - reportaż **Anny Lisieckiej**, Polskie Radio, Program 2.

Reportaż został uhonorowany w 2010 r. Nagrodą Wolności Słowa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, był także nominowany do prestiżowej nagrody radiowców Prix Europe.

SZEŚĆ I PÓŁ ROKU MIAŁAM. Mieszkałam we wsi Hurby, gmina Buderaż. Ja w tej chwili, przed pani przyjazdem, spjrzałam na mapę i to jest na północny wschód, daleki północny wschód. Blisko Krzemieniec, Dubno, najbliższe miasto Mizocz, w którym leżałam w szpitalu. Hurby to duża wieś, to pamiętam. Ze swojego dzieciństwa pamiętam też sąsiadów, koleżanki, z którymi się bawiłam, no i rodzinny dom. Nasz piękny dom, do którego się wchodziło po ogromnych kamiennych schodach, takich głazach prawie. Przed wejściem była altanka. To był stary dom, pamiętam, stary dom, obok były wybudowane obora i stodoła. Obie ogromne. To była podstawa.

Pamiętam nasze zwierzęta: dużo krów, dużo świnek, dużo koni. Pamiętam lalkę i że nazywała się Nekrawa Lalka, taka z dzieciennych lat. Pamiętam najstarszego brata, miał na imię Marcel, siostrę Leokadię, która żyje na szczęście i mieszka w Trzebnicy. Pamiętam siostrę Stasię, która w odróżnieniu od nas była blondynką z ogromnymi niebieskimi oczami. My mamy chyba urodę po mamusi, a ojciec... Nie pamiętam ojca. Wszak tylko ostatni wieczór z nim pamiętam, jak prosił, żebyśmy uciekali z mieszkania, a on zostanie i powynosi, co będzie mógł. No, cała stodoła już się paliła, a myśmy dość daleko mieszkali od innych zabudowań. Tam nie było takiej łączonej zabudowy. Każdy był pan na swoich włościach. I tatuś kazał nam uciekać do lasu w ten feralny wieczór, ale przeskoczyłam moment, o który mnie pani pytała. Więc jeszcze pamiętam siostrę, o której wspominałam, blondyneczkę, miała na imię Stasia, no i braciśzka malutkiego, Tadzia. Malutki, może miał rok, rok i kilka miesięcy, malusieńki był, jeszcze słabo chodził.

Był wieczór, piękny wieczór, bardzo ciepło. Mamusia nas wszystkich pokąpała w tradycyjnej, drewnianej balii, pousadzała na tapczaniku i obcinała grzyweczki. Bardzo prosiłyśmy z siostrą, żeby nam

przymierzyła białe skarpetki, bo była z tatusiem w Mizoczcu i je tam kupiła dla nas. Miały takie kolorowe kwiatuszki na ściągaczach. Ale mamusia tylko je nam przymierzyła i miały być na jutro. Następnego dnia było duże święto, a ludzie na wschodzie bardzo przestrzegali zasad dużych świąt, to ja pamiętam.

My w rodzinnym domu wszystkie musiałyśmy wieczorem – my, to znaczy dzieci, które już rozmawiały i chodziły – klękać i głośno mówić pacierz. To pamiętam, a w jednym z pokoi mieszkała ciocia Franciszka Warnawska, która później się musiała nami wszystkimi zaopiekować. To była młodsza siostra ojca, bo wujek był na wojnie. Tego wujka nie pamiętałam specjalnie, ponieważ ciocia wzięła ślub – jak już później się dowiedziałam – w 1939 roku, w lutym. Wujek był nadleśniczym, więc poszedł na wojnę, i ciocia z tego nadleśnictwa bała się tam mieszkać, bo tam już były takie różne przypadki. Jakiegoś nauczyciela czy księdza, takich ludzi najbardziej świątłych, w tej miejscowości spotykała przykrość. Ale najpierw uważali to za jakieś napady, jakieś rabunki, a później się okazało, że to było coś więcej.

I ten wujek na swoje nieszczęście, a na nasze chyba szczęście, uciekł z niewoli niemieckiej w 1942 roku późną jesienią i już do leśniczówki nie poszedł mieszkać, tylko wrócił do cioci i w tym pokoju razwem mieszkali. Wujek był świątłym człowiekiem, ciągle przestrzegał ojca, żeby wywiózł dzieci do Mizoczca czy do Równego, czy do Dubna, bo jest niebezpiecznie, bo więcej się znał na polityce niż ojciec zajęty rolą i życiem rodzinnym. Wujostwo byli bezdzietnym małżeństwem. No ale tatuś bardzo ufał, że nic nie będzie, zwłaszcza ufał Iwanowi, którego ja znałam osobiście.

Iwan to u nas wiecznie był takim robotnikiem. Oni, tzn. jego rodzina, byli biedni, a on pomagał ciągle u nas na roli. Tatuś na zimę zawsze mu dawał świnie, dawał mu zboże, no i od rana do wieczora mówił na niego „długi Iwan”.

On potrafił kopać studnie, potem układali takie koła cementowe w tych studniach. I on przychodził do tatusia i mówił: „Janek – a było już głośno o pewnych rzeczach, były takie przypadki w innych miejscowościach czy wioskach, w Mizoczcu – jak coś będzie, to ja ci powiem”. I kładł się z tatusiem do łóżka i siekierę chował pod łóżkiem. W tym czasie wujek z cicią nie nocowali w domu. Gdzieś się ludzie już chowali, a jak się ciepłej zrobiło, to tatuś też odprowadzał nas do lasku, bo mieliśmy swój własny las, gdzie jak pamiętam, jako dzieci zbierałyśmy i przylaszczki, i kwiatki różne, i grzyby, jak były, i czarne jagody.

No i tatuś nas do lasu wysłał wtedy na noc, zresztą już niejedną noc w lesie nocowałyśmy, bo coś się już zaczęło dziać. I pewnego razu, może to był kwiecień, było bardzo, bardzo głośno. My, jako dzieci, nie zwracałyśmy na to uwagi, ale ktoś namówił naszego tatusia, by nas odwiózł do tego Mizocza czy do miasta dalej, i tatuś nas wiózł. Całą piątkę nas wiózł i miał wrócić z Marcelem, moim najstarszym bratem, do domu, bo wiadomo, zwierzęta.

Świnia się miała oprosić – jak to słyszałam później od cioci – krowy przecież trzeba było wydoić, bo te panie, które czasem pomagały, to wszystkie już pouciekały. No i tatuś nas wiózł takim wyplatanim, pamiętam, dużym wozem i z tyłu była taka buda, jakby osłona. To był taki świąteczny wóz – pamiętam, żeśmy nim do kościoła jeździli czasami. I parafia to była Kutry, taka miejscowość, też pamiętam. Bo dla nas, dla dzieci, było daleko, więc tatuś nas czasem z mamusią podwoził. I tatuś nas tym wozem wiózł do Mizocza.

Tam były ogromne lasy wszędzie i przez te lasy jechaliśmy. Jak przejeżdżaliśmy przez jeden z nich, w pobliżu miejscowości, której nazwy nie mogę sobie przypomnieć, to zepsuło się koło. I tatuś nas zostawił u zaprzyjaźnionego Ukraińca. Wiem, że się nazywał Witruk. I myśmy tam z mamusią byli, a tatuś wrócił z Marcelem i z tym zepsutym wozem, żeby go tam nareperować, z tą taką dużą bryczką chyba. Miał do nas dojechać i nas do celu dowieźć. Zrobiła się piękna wiosna. Pamiętam, że jak ktoś przychodził do tych państwa, to mamusia nas zamykała w dużym pokoju. To byli też bardzo bogaci ludzie.

Bo mamusia też została u tego Ukraińca?

Tak, roczne dziecko przecież był ten Tadzio i mamusia go piersią karmiła. I nam się kazała chować. Ona sama zostawała z tą panią, ponieważ umiała po ukraińsku mówić swobodnie, tak jak oni po polsku. Mieszały się rodziny, tak że myśmy nie odczuwały jakichś podziałów. Zresztą w naszej miejscowości nie było Ukraińców. Ja nie miałam koleżanek Ukrainek, ponieważ żadne tam nie mieszkaly. Oni byli raczej biedni, może byli mniej zorganizowani, mniej światli. I po kilku dniach tatuś przyjechał i nas zabrał do domu, ponieważ nic się nie działo. Uznał, że z tym niebezpieczeństwem to chyba była jakaś taka plotka.

To było w kwietniu, na pewno w kwietniu, bo było bardzo ciepło. No ale w maju to już coraz więcej, dziećmi będąc, słyszałyśmy, że kogoś tam zamordowali. I mój wujek, mój wujciu kochany, Alek-

sander Warnawski, ostrzegał tatusia: „Janek, ty wywieź dzieci i Marysię gdzieś do Równego, gdzieś do miasta”. Tam większe przecież było bezpieczeństwo. Tam przecież już Niemcy byli. Ale tatuś w tym krytycznym dniu gdzieś pojechał, do jakiegoś miasta, choć nie wiem jakiego, i pamiętam, że przywiózł w workach cukier i drobiazgi, które na co dzień nie były dostępne w sklepie – no nie było takich rzeczy, żeby na zapas można było kupić. I przyjechał pod wieczór, a u nas nocowała pani, która była wdową, bo jej mąż pracował w tartaku czy gdzieś. Mieszkała dość daleko, miała dzieci w jakiejś leśniczówce i przychodziła do nas nocować, bo się bała tam sama mieszkać. I kiedy mamusia nas pomyła, pokąpała, siedziałyśmy na tym tapczaniku, ona obcinała nam grzyweczki, a brat na podwórku pewnie jeszcze gdzieś biegał.

I wtedy odezwała się właśnie do siostry: „Lodziu, wyjdź na podwórko i zobacz, bo jakieś takie jakby huki słychać, strzały czy coś”. Siostra pytała: „Ale gdzie mamusiu? To na pewno pani Sierkowska rozkłada sienniki dla dzieci” – bo ona miała tych dzieci sporo. Ale w pewnym momencie siostra wyszła, a jak wyszła, to już się paliła cała wieś.

To w ten czas tatuś krzyczał: „uciekaj, jedźmy do lasu”, więc mamusia... A tu już ogień w następnym obejściu się palił, ale to były takie samodzielne, ogromne gospodarstwa. I myśmy były w koszulkach na szeleczkach. Ja, Lodzia i Stasia, a mamusia chwyciła tego malutkiego braciszka, Tadzia, na ręce i tatuś rzucił na mamusię takie palto. Wiem, że miało taki kołnierz z lisa. I my z tym uciekliśmy z mieszkania, razem z tą panią, która tam z tymi dziećmi była. Biegliśmy przez nasz ogród, gdzie było ścięte ściernisko po koniczynie, i tak drapało nas w stopy. Skierowałyśmy się do lasu. Może przeszłyśmy 150 metrów od domu, może nie, a zboże było takie, jak w tej chwili. I ten las, do którego nie doszliśmy. I dwóch mężczyzn wyłoniło się z tego zboża, i tylko krzyknęli: „Chłopcy, siuda!”. To znaczy – chłopcy, chodźcie tu. I mamusia zobaczyła u jednego z nich, że miał siekierę za paskiem przywiązaną. I krzyknęła: „Dzieci, uciekajcie, bo to banderowcy!”. No i rozsypaliśmy się wszyscy, gdzie kto mógł. Bałam się daleko odchodzić, trzymałam się mamusi za sukienkę, a Marcel niósł Stasię na barana, bo nóżki ukłuła. Lodzia była gdzieś z drugiej strony, gdzieś wszystko zniknęło. Oni dopadli do mamusi. Nie wiem, co zaczęli robić, mamusia strasznie krzyczała.

Szaro było, ale zobaczyłam, chociaż leżała, że takim dużym nożem odcinał jej pierś. Na mnie mówili w domu „Rysia” i dlatego krzyczała

tak: „Rysiu, uciekaj, Rysiu, uciekaj!”. Ale nie uciekałam nigdzie, bo się bałam. I tak się położyłam twarzą do ziemi, podkuliłam nogi, leżałam i chyba nie oddychałam. Mamusia strasznie jęczała, krzyczała. Podcięli jej później gardło, ale żyła. Nie wiem, co się później stało, mamusia strasznie prosiła, żebym wody jej podała. Ale ja chyba zasnęłam, nie wiem, co się działo. Nic nie pamiętam, później ten krzyk, ten jęk cały czas, ale nie jednej osoby, dużo ludzi jęczało. Byłam tak sparaliżowana strachem, że się nie ruszałam i chyba mnie to uratowało. Usłyszałam jednak takie trzaski, jakby drzewa, poczułam jakiś swąd i gorąc od płomieni – podniosłam głowę, a tu wszystko, wszystko się paliło, dosłownie wszystko.

Wszystkie zwierzęta były wypuszczone, stodoła, obora, dom, wszystko się paliło, była jedna pochodnia. I już się zaczęło zajmować trochę zboże, bo niedaleko domu był ogród warzywny i zaraz potem właśnie te uprawy. Myśmy tak dzięki temu zbożu troszkę się uratowali, część ludzi. I tak zaczęło trzeszczeć, płonąć to wszystko, cały dom. Boję się strasznie pożarów. Ja słyszę, ja w tej chwili słyszę, jak trzeszczy i to się wszystko pali, a mamusia jęczy. A to już była szarówka, już czerwiec. „Rysiu, Rysiu – widzi mnie, jeszcze jest przytomna – daj mi wody”. Włosy mamusia miała wyrwane, a nosiła takie długie warkocze i miała długie, czarne włosy. Warkocz nosi siostra do dziś, mamusia też takie miała. Nie widziałam już nikogo w pobliżu i poszłam do tego ogródka. Zerwałam część kapusty, liść, i na tym liściu było trochę wody, taka rosa, i ja to mamusi przyniosłam, ale nie podałam, bo się bałam. Zaczęłam strasznie płakać i uciekać. Mamusia strasznie wyglądała, była cała zalana krwią i wszystko z niej zostało zdarte. I ten mały leżał obok niej. Też żył jeszcze i jęczał. Nie było nikogo z rodzeństwa, nikogo nie widziałam. Troszeczkę dalej leżał taki pan, Hruszowiec się nazywał. On uczył u nas religii, teraz powiedziałoby się – katecheta. Ale był już nieżywy. I ja w takiej naiwności dziecka uciekałam do swojej chrzestnej mamy, pani Marii Tylickiej, krawcowej – od nas może z 200, 300 metrów mieszkała – bo chodziłam tam do niej z jej córeczką się bawić. I ja od niej miałam taką piękną gałgankową laleczkę. Tę laleczkę miałam położoną u nas w ogrodzie, na deskach, które były na budowę domu. I ja wtedy po tę lalkę wróciłam i potem poszłam z nią do tej Tylickiej.

Oni mieli piękny murowany dom, kryty blachą, i ten dom nie był spalony. Nasz był stary, tylko obory mieliśmy malowane. A tam, w tym domu, nikogo nie było. Ja chciałam powiedzieć im, co się stało, bo myślałam, że tylko u nas to się wydarzyło. Więc gdy nikogo tam

nie zastałam, to przez takie ogrody, sady, gdzie bawiłyśmy się jako dzieci, poszłam do takiej przyjaciółki swojej, Stasi Matarkowskiej, która do dzisiaj żyje i mieszka w Bojanowie za Rawiczem. I do niej poszłam, żeby jej powiedzieć, co się dzieje i że mamusia nie żyje. Tatuś, byłam przekonana, spalił się w tym domu, bo pamiętam, jak został w środku. Przychodzę, a tam na podwórku jest bardzo dużo koni. Bardzo dużo koni, część uwiązanych, część przy korytach wodę piła, a ja w tej naiwności dziecka wchodzę do tego mieszkania, a tam pełno mężczyzn. Są pijani – zobaczyli mnie. I krzyczą: „Mały laszok! Mały laszok!”. Rozumiałam, co to znaczy. Wybiegłam z tego mieszkania i uciekłam do ogródeczka, zaraz po lewej stronie, i tam taki krzak był, albo bez, albo jaśmin, w tej chwili już nie pamiętam, i ja wpakowałam się w ten krzak. Oni tam pochodzili, pokrzyczeli, strzelali gdzieś, a ja bez oddechu tam siedziałam, tylko tę lalkę ścisłałam cały czas. Jedynie w tej koszulce, zimno mi było.

Już południe pewnie było, bo było bardzo ciepło, jak oni na konie powiadali. Śpiewali i „hurra” krzyczeli. Wyjechali. Jak już wyjechali, ja jeszcze troszkę odsiedziałam, po czym wyszłam – żeby po tej wiosce szukać ludzi, kontaktu. I spotkałam taką panią, która się nazywała jak i ja z młodości, Helena Ostaszewska, bo ja się z domu nazywam Ostaszewska. I opowiadam, co się stało. Ona była wdową i miała jednego synka. I ona mówi: „Nie płacz, Rysiu, ja cię zabiorę, na pewno tatusia znajdziemy”. Ja mówię: „Nie, tatuś spalił się, tam, gdy dom spłonął, nie zostało nic”.

Po jakimś czasie jakaś pani wyszła ze zboża, starsza pani, ja nie wiem, jak ona się nazywała, chyba Krasicka. Była z moją siostrą. Były nietknięte. Ukraińcy zdjęli tylko z siostry kożuszek. Ta pani, jak uciekała z domu, wzięła ze sobą taki ładny kożuszek wyszywany i dała siostrze, bo jej zimno było w nocy, jak ta roska spadła. I ten Ukrainiec zdjął z siostry ten kożuszek. I siostra mi teraz całe życie opowiada, jak jeden mówił do drugiego: „Co ona tak sterczy, daj jej nożem w plecy!”. I siostra mówi, że już chciała krzyknąć, dziecko dziesięcioletnie, ale nie krzyknęła i dlatego żyje. Znalazła się siostra, znalazłam się ja. Już przyczepiłyśmy się tej cioci, zaczynają ludzie wychodzić z kryjówek, no a wszędzie leżą trupy. My, dzieci, boimy się, bo tam masę ludzi leżało pomordowanych. Jak ktoś nie schował się, to był zamordowany. I zauważyłyśmy, a już trochę tych mieszkańców się zgromadziło, że z lasu ktoś biegnie. Wszyscy w popłochu, że to Ukraińcy, a to był mój tatuś. Podobno był zrozpaczony.

Liceum krzemienieckie, fot. Jan Bułhak.





Ja tego nie widziałam, ale ponoć chciał się powiesić i szkoda, że tego nie zrobił – ja, jako jego dziecko, to mówię. Szkoda, bo tak, jak go później zamęczyli, to... I jak przyszli podpalić ten dom, tatuś w tym czasie w to zboże pownosił pierzyny, chlebek jakiś pieczony, jakąś tam wędlinę. Powynosił to wszystko, w zboże powyrzucał. I jak już podpalili dom, wyskoczył przez okno i gonili go podobno całą noc, gdzieś tam między zbożami uciekł i pod jakimś mostkiem w lesie przesiedział do rana. No i miał straszne wyrzuty sumienia, że nas nie ochronił. Wykopał dół w ogrodzie, w naszym ogrodzie, i tam pochował mamusię.

Jeszcze opowiadała sąsiadka, nie pamiętam, jak się nazywała, że podobno ten najstarszy z braci, Marcel, na kolanach błagał, po imieniu się zwracając, żeby go nie mordowali. Całował po nogach, „diadia” tam do kogoś mówił, „wujku” też podobno, no i jeden taki był dobroduszny, że strzelił mu z tyłu w głowę. Zginął na miejscu, a jeśli chodzi o siostrę Stasię, to wyrwali jej część głowy, ale ona żyła. Miała z drugiej strony dziurę i w brzuchu miała dwie dziury, tak że jej jelita wychodziły, ale była przytomna. Tatuś konie zawołał, konie przyszły, bo chodziły luzem, ktoś wydoił krowę, bo tam już ludzie poprzychodzili. Któraś z pań poprosiła ojca, żeby pojechał do niej do domu. Ta pewnie, co u nas nocowała, bo ona miała – to byli bogaci ludzie – zakopane jakieś kosztowności. Zabrać je pewnie chciała, bo była wdową. I z tymi dziećmi pojechała, długo jej nie było, a tatuś nas do pierzyny położył, co tam ze dwie czy trzy były. Jakieś jedzenie dostaliśmy i podobno kilka furmanek rano wyjechało po tym nieszczęściu. A my koło południa jechaliśmy.

Ktoś mnie tam wziął, a tatuś Marcela pochował z mamusią w jednym grobie. I Tadzia, bo już nie żył, i tego pana Hruszowca, tego, który uczył religii. Potem pojechaliśmy do Mizocza. Stasię oczywiście położyliśmy w tych pierzynach. W dużych butelkach mieliśmy wodę – jak ktoś gdzieś znalazł oczywiście jakąś butelkę – a wodę wzięliśmy z tak zwanej rynny. Piłam ją i później, w 1987 roku, bo ktoś tam pojechał. Tam nie ma nic, tylko woda się leje z jakichś źródeł, tak z góry wypływa. Zrobili więc takie koryto z drewna, taką rynnę, i jak ktoś chciał dobrej wody, to przynosił. I ten pan, co tam jeździł, przynosił mi wodę z tej rynny.

Ale wracając do tego nieszczęścia. Jechaliśmy w kilka furmanek do tego Mizocza i Stasia ciągle jęczała: „wody, wody”, i traciła przytomność, ale poznawała nas. Lodzia jechała, ja jechałam, Stasia i tatuś, no i ta sąsiadka z dziećmi. I dojechaliśmy w jedno miejsce. Tatuś

mówił, że to się nazywało Sokole – część lasu, bo tam bardzo dużo sokołów było.

Myśmy płakały, no bo mamusi nie ma, ale tak naprawdę nie zdawaliśmy sobie sprawy, co się stało. To skrzywienie kół też zawsze słyszę, po piasku, w tym lesie. Jedna krowa była przywiązana, bo miała nas żywić. Reszta została. I raptem z lasu wyskoczyły ich miliony, tak mi się wydawało. I znowu: „Chłopcy, siuda!”. I zaczęły strzelać, ale mało broni mieli, wszyscy trzymali siekiery, widły, jakieś potężne noże. W moich oczach, oczach dziecka, były one tak ogromne, że się podobne ogląda na filmach jak „Pan Wołodyjowski”. W filmie oni tam mają małe szabelki w porównaniu do tamtych noży. Wtenczas to wszystko wydawało mi się ogromne.

No i tatuś znowu krzyknął do nas: „Dzieci, uciekajcie, banderowcy!”. I siostra zeskoczyła, ja też zeskoczyłam, a Stasia oczywiście została na wozie. I dopóki nie umrę, nie będę myślała, że ona nie żyje, chociaż jej stan był tragiczny. No i tatuś już z wozu nie zeskoczył, bo go postrzelili pewnie. Myśmy zaczęły uciekać, tych ludzi tam trochę też zaczęło uciekać. Ja co podbiegnę kawałeczek, to Lodzia prosi: „poczekaj”. Wreszcie ona gdzieś z tymi dziećmi pobiegła, a ja za te krzaczki, tam gdzieś się przewracam, ale co chwilę się oglądam, żeby nie za daleko od tatusia. Siostry już nie widzę.

No i wróciłam. Już straciłam z oczu siostrę i wróciłam bliżej wozu. I tak krzyczałam, tak krzyczałam przeraźliwie, a ci Ukraińcy dopadli do tego wozu, bo oni szukali najpierw majątku i dokumentów. W znalezionych papierach ojca jest gdzieś „Jan Ostaszewski”. I jak ja się tak strasznie darłam, w tej koszulinie podartej, to wtedy tutaj, po gardle, nożem pewnie chciał mi jeden przejechać. To już się zabliźniło, po 65 latach już prawie nie widać.

W okolicy mostka?

Tak, a to pewnie miało być tu, żebym nie krzyczała. A ja z tą lalką stałam. Tak się wściekł, jak zobaczył, że ja trzymam lalkę, i jak mnie tu uderzył, to ja nie wiem, czy ja otwarałam te rączki, ale tak mi tu nożem przeszył na wylot dłoń, prawą dłoń – z tą lalką. Potem jeszcze na jednym i drugim barku czułam takie dżganie. Rękę miałam też przebitą. Młody człowiek robił to nożem sześćioletniej dziewczynce. Ból był duży, płakałam. Na plecach też mam znaki, jak pani chce zobaczyć, to ja pani pokażę. Później, gdy tak strasznie się darłam, to jego tak strasznie to pewnie denerwowało, że mnie zapał tak jak kota – za skórę, no i położył na taki ogromny kopiec mrówek. I tę

część ciała, którą trzymał w dłoni, wykroił. Proszę zobaczyć, straszny kawał blizny.

Dopiero później, po latach, dowiedziałem się, że przebita została opłucna. Ale jak wtedy zostałam w tym mrowisku, to gdy się ocknęłam, obudziłam, to strasznie mi się chciało pić. Nie wiem, kiedy dokładnie się obudziłam, ale to był już trzeci dzień. Ja widziałam wtedy tę głowę. Bo jeszcze przedtem, zanim mnie tam położył, a właściwie wrzucił w to mrowisko, byłam świadkiem, jak Wasylkowskiej, tej pani, co z nami jechała, odrąbali na pieńku głowę. Ja tak strasznie krzyczałam, kiedy oni tatusia, no, strasznie bili najpierw, rękami i tymi kolbami, a tej Wasylkowskiej na pieńku odrąbali głowę. Ta głowa tak się kulała, tak się kulała i ja to widziałam. To nie był żaden film, ja to widziałam. Później, jak się obudziłam, to się bardzo przestraszyłam tej głowy, bo ta głowa cała tymi mrówkami była oblepiona, chociaż ja też inaczej nie wyglądałam. Byłam cała we krwi i nie miałam prawie warg, wszystko wygryzione. A ta lalka – nie mogłam jej wyjąć, bo ta szmatka zaschła. Tak mnie to strasznie bolało, ten przestrzał w rękę – ta blizna przecież jest do dzisiaj. I na kolankach tak siedziałam, ręka bolała, tak bolała. I tak strasznie mi się chciało pić. I były moje przyjaciółki – zielone jagódki. I zrywałam te jagódki i brałam do buzi. A tatusia nie poznałam. Był przywiązany rękami i nogami do drzewa, miał zdartą skórę. Ja nie wiedziałam, że to jest mój ojciec, nie poznałam go.

I słyszę skrzywienie kół, słyszę to samo skrzywienie kół na tym leśnym piachu. Ale już myślę wtedy, że będę prosić, żeby mnie nie zabijali. I podchodzi do mnie żołnierz. Zaczęłam strasznie krzyczeć, na ile miałam sił, ale w rzeczywistości podobno bardzo cichutko krzyczałam. A to był Niemiec, niemiecki żołnierz. Podniósł mnie i mówi: „Mein Gott, mein Gott”. Te dwa wyrażenia: „chłopcy, siuda” i „mein Gott”, pamiętam do dzisiaj. Wziął mnie na ręce i dał mi czarną kawę z menażki. Tak słodką, że ja do dzisiaj jej smak pamiętam. Okazuje się, że ci ludzie, którzy uciekli do Mizocza, poprosili o pomoc – żeby pojechać do wioski i zobaczyć, czy może ktoś żyje. I to niemieckie wojsko pojechało i wrócili tam zaraz mój wujek i ciocia. Najpierw poznali mnie, a później i ojca. Ale nikt nie zabierał zwłok, bo nie było czasu na to ani miejsca. Ani tej pani Wasylkowskiej, ani innych, mnie tylko zabrali, bo żyłam. Ja mówię: „Dokąd my jedziemy?”. A wujek odpowiada: „Jedziemy do Hurby”. Ja na to: „Ale nie tą drogą co tatuś!”. Nie było jednak innej. I pojechaliśmy do tej Hurby. Ci Niemcy trochę mnie zabezpieczyli na tym wozie, to znaczy tak, jak

mogli. No i znalazła się tam też siostra – z tą najstarszą córką tej Wasylkowskiej, co jej głowę odrąbali. A ona na rękach miała jeszcze dziecko i kołysała na rękach tę najmłodszą, półtoraroczną siostrzyczkę – one dwie się uratowały. Zwłoki oczywiście były wyrzuczone z tego dołu, zbezczeszczone. Ta ciocia, która tam mieszkała z nami, wróciła do domu, gdzieś w ogrodzie mieli bowiem zapaną jakąś skrzynię. I dowiedziałam się później, że w tej skrzyni był schowany ślubny garnitur wujka i jakieś inne rzeczy, za które żeśmy parę miesięcy przeżyli później. Bo nie było nic, majteczek nawet, jedynie koszulka na takich bawełnianych szeleczkach.

I tak pojechałam w świat, do Mizocza – do szpitala niemieckiego trafiłam, bo mnie Niemiec znalazł. Długo leżałam, a w międzyczasie wujek znalazł tę jedyną siostrę, która była ranna w tartaku. Jej mąż był kierownikiem tego tartaku. Znalazł ją ranną, z zabitą malutką córeczką, i zabrał do szpitala. I ona zmarła – pani Stankiewicz, tak się nazywała. No i później już wujek wiedział, że się zbliża front, że tam niebezpiecznie jest, więc wyjechaliśmy do Dubna. Nie mieliśmy co jeść, nie było żadnych wygod, żadnego leczenia. Wujek troszkę handlował bibułką do papierosów. Z tego Dubna wyjechaliśmy do Przemysła, bo nieszczęście się zbliżało. Zorientował się jednak, że jest tam bardzo dużo Ukraińców, a baliśmy się ich jak ognia. I uciekaliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się dopiero w Krakowie. To był już styczeń czy luty 1944 roku. I do końca życia nie zapomnę, jak ciocia z obrusa, który ktoś jej tam dał, uszyła nam ręcznie dwie sukieneczki. Styczeń, zima i mróz, a my mamy z obrusa uszyte i pofarbowane czymś tam sukieneczki. I posadzkę w Krakowie pamiętam – tego całe życie nie zapomnę. Była czarno-biała, na dworcu, a myśmy stały bosc.

I nie miałam odwagi pojechać do Krakowa, aż w 1978 roku, jadąc do sanatorium w Krynicy, musiałam wysiąść w Krakowie, żeby później nie tracić ani chwili dalej autobusem. I spoglądałam, a to ta sama posadzka – tylko patrzyłam, czy tam nie ma odbitych moich stóp. Wtedy, podczas wojny, Niemiec się tam przechadzał, no i do nas po niemiecku, że dlaczego my jesteśmy nieubrane, dlaczego na takim mrozie stoimy. Pamiętam, że był bardzo wysokim mężczyzną, no i ja z jednej strony, za jedną nogę, siostra za drugą nogę. I ten Niemiec, zaznaczam, Niemiec, bo wszędzie są ludzie, mówi do wujka, że gdybyśmy nie miały czarnych główek – a byliśmy ostrzyżone na łyso, żeby nas wszy nie zjadły – to by nas zabrał. Ale że mamy czarne głowy, to będzie podejrzane – mogło to oznaczać, że jesteśmy Żydówkami. I nie zabrał żadnej z nas. Powiedział, że jak odjedzie transport,

bo rodziny transportował już do Rzeszy, to żeby wujek zabrał pakunek, który on tam zostawił – bo on ma dzieci w takim wieku, jak my. Mówił, że tam będzie jakaś odzież i pomoże nam. I rzeczywiście, pociąg odjechał, Niemiec odszedł i wujek wziął ten bagaż.

Pojechaliśmy do Miechowa. A w tym Miechowie przydzielono nas do takiej wioseczki Strzyżnów, pamiętam jak dziś, że się nazywała Strzyżnów. I tam zamieszkaliśmy u sołtysa, który się nazywał Warchala – wszystko do sprawdzenia. Bardzo źle nas tam ludzie przyjęli. Wojna była. Przyjęli nas bardzo źle, bo nie wiedzieli, że na Wołyniu mordują, że my uciekamy. Oni żyli swoim światem. Rozpakowaliśmy ten worek, ten dar szczęśliwy, a tam, w tym worku, zamiast odzieży, był piękny siennik i dwie poduszki. Rozczarowanie najpierw, a później myśmy – przepraszam – siusiały co noc w to wszystko, bo byłyśmy tak przeziębione. Wreszcie, jak przegnił ten materac, ciocia gdzieś go suszyła i okazało się, że to była najlepszego gatunku wełna prasowana. Rozskubywałyśmy tę wełnę, a ciocia rozłożyła kołowrotek, przędła i porobiła jakieś kaptcie, jakieś pończochy, no i sprzedawała to w Miechowie na targu za kawałeczek chleba albo coś innego do jedzenia.

Tak przeżyłyśmy tę tragiczną wojnę. I w 1945 roku zaczęli się Wołyniacy odszukiwać. Wujek znalazł gdzieś najbliższą rodzinę – cioci siostrzenicę – koło Bojanowa, w Trzeboszu. I tam pojechaliśmy. Jechaliśmy trzy tygodnie odkrytym bydłącym wagonem do Bojanowa. A z Bojanowa do Trzebosza. Tam poniemieckie gospodarstwo otrzymaliśmy, na którym wujek nie potrafił absolutnie nic robić. Ciocia tak, wujek nie umiał robić. Wujek był urodzony w Łucku, z bardzo, bardzo inteligentnej rodziny pochodził, ale życie tak się potoczyło, jak się potoczyło. Ciocia była ziemianką, umiała wszystko zrobić, a my nic nie chcieliśmy, tylko jedną kurę, jedną krówkę, żebyśmy mogli przeżyć. A że nie zwariowałam, to chyba tylko dlatego, że miałam sześć i pół roku. No, chyba tak. Ale muszę dodać, że w lesie widziałam Iwana, jak tatusia mordował. Tego Iwana, co z tatusiem spał. Ja go widziałam... ja go widziałam, tego długiego Iwana, tak.

Czy rodzina, dzieci, wnuki znają historię Kresów Wschodnich?

Wujek, który mnie wychowywał, całutkie życie mnie uprzedzał i nie wolno było w domu o tym mówić – bo przyszliby Ukraińcy i zamordowali. Nie wolno było o tym mówić. I ja o tym nie mówiłam chyba ze czterdzieści lat. Nie wolno było. Może pięćdziesiąt lat, a tak

głośniej powiedziałam, jak 60. rocznica się zbliżała. Tak, nie wolno było o tym mówić, bo wszyscy się baliśmy. Ten strach ciągle odczuwam. Nigdy nie byłam za wschodnią granicą, nigdy, i nigdy nie będę. U mnie psychicznie ta bariera jest za duża. Najtrudniejszym dniem jest dla mnie zawsze Wszystkich Świętych, bo nie mam gdzie postawić świeczki. Wszyscy rozdrapują zaszczości i ja wiem, że ogromną tragedią jest Katyń, że ogromną tragedią jest Oświęcim, ale tam była też bardzo, bardzo ogromna tragedia i dlatego nikt o tym nie chce mówić, a nas jest coraz mniej. Powiedziałam dzieciom i powiedziałam wnukom.

Wnukowie coś tam słyszeli, prosili: „babciu opowiedz, babciu opowiedz”, więc żeby ich nie zniechęcić, ale też żeby troszkę poczekali, powiedziałam: „Jak już będziecie po Komunii Świętej”. Chciałam zostawić trochę czasu dla siebie. Potem tu ich posadziłam, koło siebie, i zaczęłam im opowiadać. I może to straszne, co powiem, ale wybaczają się, ale się nie zapominają. Wybaczają się, bo ja nie wiem, czym to było spowodowane, bo z dziada pradziada wszyscy tam żyli w wielkiej przyjaźni. Ale należy powiedzieć wyraźnie: „zrobiliśmy błąd”, albo przeprosić tych, co zostali poszkodowani i nieszczęśliwi. I dzieciom swoim mówię ciągle: „Bądźcie ludźmi. No i Wituś, jeżeli już nie możesz pomóc choremu, to go dotknij”.

Persona to ja

Reportaż **Anny Kaczkowskiej**,

Polskie Radio - Regionalna Rozgłośnia w Lublinie, Radio Lublin S.A.

Reportaż uhonorowany II nagrodą na Międzynarodowym Katolickim Festiwalu Filmów i Multimedków - Niepokalanów 2002; Nagrodą główną w konkursie „Mniejszości Narodowe i Etniczne w Polsce” - Polskie Radio Rzeszów 2002; II nagrodą w konkursie „Pogranicze” - Polskie Radio Olsztyn 2002; Wyróżnieniem w konkursie Polskiego Radia „Polska i Świat” 2001.

Dziecko: (śpiewa)

*Jadą, jadą dzieci drogą,
siostrzyczka i brat,
i nadziwić się nie mogą,
jaki piękny świat.
I nadziwić się nie mogą,
jaki piękny świat.*

Kobieta: Tatuś pochodził z Brzeziczek koło Piast, w lubelskiem. Mamusia pochodziła z Gardzienic. Pobrali się, mieli trochę pieniędzy. Ojciec wziął spłatę i mama też. Kupili sobie na Wołyniu, koło Włodzimierza, w Niebrzydowie, majątek, no i tam się osiedlili. Teraz, jak jeżdżę na Ukrainę, to mówią, że myśmy byli wszyscy ładni. I tata był ładny, i mama, i my, dzieci - wszyscy byliśmy ładni. I jedno o drugiego tak dbało. I tatuś z mamusią tak dobrze i w przyjaźni żyli. I my też. Wszyscyśmy się lubili. To jest mama i tatuś, jak tylko się pobrali (pokazuje na zdjęciu). To jestem ja, a to jest Aluś, Krysia, Piotruś i Bogusia. Z nich wszystkich ja jedna zostałam, proszę pani.

Dziecko: (śpiewa)

*Tu się kryje biała chata,
pod słomiany dach,
przy niej wierzba rosochata,
a w konopiach strach.
Przy niej wierzba rosochata,
a w konopiach strach.*

Kobieta: No ładnie tam było. Mokrzycki Las tam był, niedaleko od nas. I to była taka kolonijka polska. I droga była, i wzdłuż drogi ciągnęła się wieś Grabina. Ojciec był za starostę weselnego u Ukra-

inców, jak się tam młodzi Ukraińcy pobierali. Później był w kumach. Bardzo dobrze sobie żył z Ukraińcami. No, jak nasza wojna, tatusia zabrali do niewoli do Niemiec. Zabrali go do Niemiec, a mama została z nami. Ukraińcy rozebrali nam budynki gospodarcze, tylko dom został i taka szopa. Był bogaty, to trzeba było go zniszczyć. Wszystko rozebrali, zniszczyli, została tylko jedna krowa i jedna owca. No i rodzina Personów, znaczy się ojca brat i siostry, złożyła się i wynajęła w Lublinie takiego Wiktora, w wieku ojca, opłacili go i on pojechał do Niemiec za ojca, a ojciec wrócił.

To już na wiosnę były łapanki. Tego zabrali z wioski, tamtego zabrali z wioski. W '43 roku. Niektórzy ginęli bez wieści. Myśmy całe lato, do sierpnia, nocowali po zbożach. Nawet ten kum tatusia to mówił: „Uciekaj, bo niedobrze się dzieje”. I to właśnie jego syn zabił tatusia. Zamordował tatusia. Tatuś poszedł się golić w niedzielę do niego i on go zamordował.

Kobieta:

(śpiewa) (akcent ukraiński)

A w niedzielę, niedzielę, niedzielę.

W niedzielę poszło dziewczę po ziele, po ziele, ojoj, po ziele.

Przyszędł do niej jakiś pon, jakiś pon.

Jakiś pon, był to z piekła sąsiad, on sąsiad, on ojoj, sąsiad on.

Kobieta: Proszę pani, dzień był piękny, słoneczny. Niedziela raniutko. Mama zajęła się kuchnią, a ja z młodszym bratem pilnowaliśmy tej krowy. Jedna krowa była czerwona, to pamiętam, i baran siwy był. W tym czasie, ja widzę, do nas na podwórek przyszło, no ja wiem, może dwudziestu, może trzydziestu ludzi, banda. I proszę panią, krzyk. Krzyk. Siekierą uderzył mamusię w głowę Ukrainiec. I proszę panią, zaczęłam uciekać w stronę lasu. Już mamusię i Krysię zabili siekierą, i Piotrusia też. To ja Piotrusia nie widziałam, tylko później mnie mówili Ukraińcy, że Piotruś został zabity dalej trochę. Mnie było wszystko jedno, wie pani, mnie było wszystko jedno. Ja już byłam przestraszona. Wystarczy dziecku zobaczyć, jak jego mama ginie od siekiery, to już mu było wszystko jedno. A Aluś i Bogusia polecili do tego Ukraińca. Taki dalszy sąsiad. Zachodzą i wychodzi ten Ukrainiec, i mówi: „Chodźcie, ja was schowam, bo wasz tatuś już nie żyje”. A Bogusia mówi: „Mama już nie żyje i tatuś nie żyje, to po co my będziemy żyli?”. I poszli. Akurat zakopywali tatusia. I przy tatusiu zostali też zamordowani. Ale nie wiem, czy siekierą czy czymś innym. Tam zostali.



Dziewczyna z Wołyńia w stroju regionalnym. Ludowa śpiewaczka z powiatu zdołbunowskiego przy drzewie kwitnącej wiśni.



Stary mężczyzna z Poczajowa na Wołyniu gra na lirze korbowej przed Ławrą Zaśnięcia Matki Bożej.

Kobieta: (śpiewa)

*Gdy wiosenną porą słowiczki śpiewają,
matki o swych synach żalem oblewają.
Gdy wiosenną porą słowiczki śpiewają,
matki o swych synach żalem oblewają.
Z południowej strony wietrzyk owiewuje,
matka sama nie wie, gdzie jej syn wojuje.
Matka sama nie wie, gdzie jej syn wojuje.*

Kobieta: Uciekłam i ze strachu siedziałam w zbożu. No proso niewysokie, ale ja miałam siedem lat, też byłam niewysoka. No i Polak miał młyn, kolegował się z tatusiem. Nie myślałam, że to już wszystkich Polaków wymordowali, więc ja mówię tak: „Pójdę do tych młynarzy”. Przed tymi młynarzami mieszkali Ukraińcy. Więc spotyka mnie Ukrainka i mówi tak: „Ty Personowa dziewczuszka jesteś?”. Ja mówię, że tak. „A gdzie ty idziesz?”. Ja odpowiadam, że idę do młynarzy. „Młynarze już nie żyją. A ty się schowaj w dziesiątkę, w zboże, i ja po ciebie przyjdę, bo i ciebie ubiją”. Nie znałam jej, bo ona z drugiej wioski, taka starsza już była. Nie znałam, ale ona mnie znała, bo przychodzili do nas, bo ojciec był dobrym gospodarzem. Gdy jeszcze sklepu nie było tak blisko, to jak jeszcze ojciec miał dobre konie, przywoził i cukier, i kaszę, i takie różne, no to znali go tam. I proszę panią, siedzę w tym dziesiątku, a jadą na koniach Ukraińcy. Ale już nie ta banda, tylko starsze takie, ze szpadelkami, i zaraz zakopywali tych, których tamci zabili. To już na pewno zakopali moją mamusię i tatusia. I proszę panią, jadą i pytają się tej Ukrainki: „Czy tu nie uciekali Polaki?”. A ona mówi: „Do lasu pouciekali. A tu nie ma Polaków wcale. Nie ma”. A ja siedzę w dziesiątku. I mówią, że będą robić rewizje i łapanki, a Ukraińcy, żeby z tej wioski ustąpili. Więc proszę panią, zbiera się obóz ukraiński, biorą tam kufry, pierzyny, wszystko i uciekają. No i szłam za nimi boso, przez las. Jako dziecko ukraińskie. Z tym że wszyscy mnie znali, oprócz tych banderowców. Szłam jako nieme dziecko. No i przyszła Ukrainka, która nie miała dzieci, męża jej zabrali do Niemiec i mówi: „Ja wezmę, wezmę ją. Przechrzczę w cerkwi, przepiszę na siebie”. A ona też była zamożna. I tak zrobiła, proszę panią. Wzięła mnie do cerkwi, pop mnie przechrzczył. Taniczka byłam. Taniczka. I dobrze mi było u niej. Jakie ja miałam stroje, jak ona mnie ubierała. Po imieniu nie, „mamo” na nią wołałam. I nauczyłam się u niej po ukraińsku mówić, tak że zapomniałam polską mowę. Tylko jeden pacierz umiałam – „Pod twoją obronę”. To to,

proszę panią, co wieczór mówiłam. Jak ona nie słyszała, bo ona też się bała, bo to wojna była. Ta banda przychodziła często i ona musiała im piec chleb, gotować. To ona mnie musiała chować. To ja tak, proszę panią, w pokoju za drzwiami w kołysce spałam. Miałam już prawie osiem lat, a w kołysce takiej na biegunach spałam. To jak któren zajrzał, to ona: „Oj, dziecko śpi”. Ja się tak skuliłam, przykryłam się tak – ona mnie ukrywała dobrze, ona i jej rodzina. Ale jak wymordowali rodziców, to ja rok czasu się zrywałam i wołałam. Śniły mi się te mordy co noc. I wołałam i tatusia, i mamusię, i rodzeństwo. I ciągle to miałam w myślach. Ale nienawiść zostaje, bo jak się bawiłam z dziećmi ukraińskimi, to ja je krzywdziłam. Ja je krzywdziłam. Biłam je, jak żeśmy się tam bawili, ja je biłam. To ta Ukrainka mówi: „Słuchaj, Taniczka, ty nie bij ich, bo przecież ty Polaczka jesteś, one cię naskarżą, przyjdą tamci i zabiją cię”. A ja nie patrzyłam, taką miałam w sobie nienawiść do nich za to, że oni nas wszystkich zamordowali.

Kobieta: (śpiewa)

*Oj, lulaj, lulaj, siwe oczu stulaj, aj siwe oczy stulisz,
do mnie się przytulisz.*

*Oj, lulaj, lulaj, oj, lulaj, lulaj,
maleńki sokole,*

oj, jak ty mnie urośniesz, pójdiesz ze mną w pole.

Kołysz mi się, kołysz, kolibaj, kolibaj...

Kobieta: I później już się utworzyła polska partyzantka – z tych, co puciekali. I oni napadali z kolei na Ukraińców. I proszę panią, ona miała ostrzeżenie, że mogą napaść tu, na tę wieś. Ale wie pani, jej było szkoda. I to bierze, i to bierze, i to chowa, i to chowa, a ja z jej męża brata córką kolego wałam się i ona też była na ten czas u tej Ukrainki, no i postanowiłyśmy uciec. Luty był. Bo takie były roztopy, a później jeszcze zimno było. Napadła ta polska partyzantka na koniach i zastrzelili tę Ukrainkę. Ale dalekośmy nie mogły uciec, bo taki był niż na łące i wylała woda. Trzeba było omijać tę wodę. I w tym czasie padł strzał. I trafił ją Polak, tu, w biodro, i ona się przewróciła, zaczęła strasznie krzyczeć. No i strzela do mnie i ja stanęłam. I tak stoimy. On ode mnie może pięćdziesiąt metrów. I strzela do mnie, a ja stoję i nie trafia mnie. Raz, drugi raz, nie trafia. Za trzecim... a ja nie uciekam. Więc za trzecim razem wystrzela i trafia mnie w nogę. Upadłam na twarz. Więc On przyszedł, kopnął

ją, a mnie nie ruszał ten Polak. I leżymy, dech żeśmy zataili, leżymy. Nie wiem ile. Podnoszę głowę, on już zaszedł za te budynki, a ja mówię: „Luba, wstawaj i uciekamy do lasu, będziemy żyć”.

Kobieta: (śpiewa)

*Poznałem, dziewczyna jak biała lilija,
która samej wiosny po wodzie rozwija.
Twarzyk ma różowy, a oczy niebieskie,
to była przecudna dziewczyna anielista.*

Kobieta: Proszę pani, uciekłyśmy do lasu, chodzimy tam, a w tym lesie miał być jej ojciec, bo oni mieszkali na drugiej wiosce i wcześniej uciekli. Spotkałyśmy takiego Ukraińca, może miał osiemdziesiąt lat. Pani, on nas zaprowadził na taki popiół, gdzie ognisko się wcześniej paliło. Ten popiół jeszcze był ciepły. Myśmy w ten popiół weszły sobie nogi ogrzać, a on mówi tak: „Wy tu posiedźcie, a ja pójde i poszukam waszych rodziców”. Zostawił nas ten dziadek i poszedł. Ten popiół wystygł, nam zrobiło się zimno, szarzało. Patrzę, a idzie jej ojciec. Wziął tę Lubę na ręce i zabrał ją, proszę panią, do swego wozu, a mnie zostawił. Dał mi kożuch i powiedział: „Ja, Taniczka, przyjdę po ciebie, tylko Lubę zanięse i przyjdę po ciebie”. Okręciłam się w ten kożuch, siedzę, nie ma go. Naraz nadchodzi banda ukraińska. Proszę panią, rozpalają ognisko niedaleko mnie i podchodzą do mnie, pytają się, jak ja się nazywam, skąd jestem. Ja nic nie mówię. Nic. Siedzę w tym kożuchu i nic się nie odzywam. Co oni sobie myśleli? Nie wiem. Ale niedaleko mieszkała taka Ukrainka. Przezywali ją „baba jaga”, „czarownica”. Taka była niedobra. I ona nasza, zagląda mi w oczy i mówi: „To Polaczka. To Polaczka”. Naraz w tym czasie nadchodzi tej Luby ojciec. I mówi tak: „Oj, Polaczka. To ja ją wezmę i zanięse – bo tam dużo bagien jest – w bagno, bo szkoda broni na nią”. Pani, i wziął mnie, już tego kożucha nie brał, zostawił tej bandzie, wziął mnie na plecy i zaniósł mnie, ale już nie do swego obozu, tylko do drugich, proszę panią. Zaniósł mnie na wóz. Jedziemy, jedziemy, proszę panią. Deszcz lodowaty, zamarza. A ja leżę na tej koniczynie i trzymam się, bo to był żelazny wóz, a po dołach tam jechaliśmy. No, zajeżdżamy na polanę, ognisko, już mam pościeloną słomę, żytny snopek, poduszkę mam, koc. Kładą mnie, a ja nogę mam sztywną. No obtulili mnie. Widzę, że duże to ognisko i dużo było tych Ukraińców. Usnęłam. Nie wiem, ile spałam. Budzę się nie ma ni ogniska, ni tych Ukraińców. Nic nie ma. Tylko poduszka i koc,

i biały puch. Śniegu napadało może pół metra. Dużo, dużo tego śniegu, bo nie było znaku nawet, gdzie co było. Więc ja sobie myślę: „czy to był sen?”.

Kobieta: (śpiewa) (akcent ukraiński)

Oj, w lesie, w lesie leszczyna.

Oj, w lesie, w lesie leszczyna.

Pod tą leszczyną dziewczyna.

Pod tą leszczyną dziewczyna.

Ona siedzący siedziała.

Ona siedzący siedziała, złociste włosy czesała.

Złociste włosy czesała.

Kobieta: Sięgam pod poduszkę, mam jedzenie. Ale jest zima, a ja jestem pod śniegiem. Zaczęłam płakać, krzyczeć. I proszę pani, naraz zza krzaka ktoś wygląda i mówi „nie płacz”, po ukraińsku. To była Ukrainka. „Przyjeździem i ciebie weźmiemy, bo my też się boimy”. Czekam. Przyjeżdża saniami, proszę pani, to był ten Ukrainiec, który miał teraz sto lat, już umarł. Przyjeżdża saniami, koniem, i wziął mnie do siebie. Tam było łóżko, pierzyny, poduszki. Pościel czysta. Pamiętam, leżę jak u siebie w domu. I przychodzi ruski żołnierz, doktor. Widocznie dali znać. No i ten doktor tylko dwa razy opatrunek mi zrobił i to się szczęśliwie zagoiło. Proszę pani, w nocy, nie wiem za ile dni, stuka do okna Ukrainiec: „Uciekajmy, bo polska banda idzie i będą bić”. To ci Ukraińcy dają mi medalik i mówią: „Ty Polka, to siedź, leż w łóżku, a my uciekamy”. Pani, oni pouciekali, a ja za nimi boso i w koszulinie – za nimi po tym śniegu. Śnieg po pas. No i uciekliśmy kawałek i wróciliśmy się, ale wtedy to już mnie na ręce wzięli i przynieśli – to tak chcieli tym wynagrodzić. Bo kiedyś, jak był przednówek – teraz to nie ma przednówka na wsi – i im brakowało kartofli, mąki, zboża, to oni szli do ojca i ojciec odkrywał kopiec na wiosnę i kazał im brać. Jak kto nie ma, niech bierze. I oni tak wspominają i mówią: „Takie mieliśmy zobowiązanie według ciebie i według ojca, ty ocalałaś i my za to dobro, które otrzymaliśmy od twojego ojca, za to, jak pomagał, musieliśmy odpłacić”.

No i takie to było życie. Brak mi było ciepła rodzinnego, brak mi było domu, ale jedzenia mi w życiu nie brakowało. Młodzi tego nie rozumieją, nawet i pani jest trudno zrozumieć, że człowiek może tyle przeżyć. Ja szczególnie jak moje dzieci dorastały, miały te lata co ja wtedy, a teraz doszły jeszcze wnuki, to Boże, przeżywałam i prze-

żyvam strasznie, gdy wspominam tamto. Jak prowadzę wnuka do szkoły albo gdy wychodzę po niego, to mówię: „Ja miałam siedem lat i ja już uciekałam, ranna byłam. Jaka to była tragedia”.

Kobieta: (śpiewa)

*Z tamtej strony jeziora stoi lipa zielona,
na tej lipuńce, na tej zielonienkiej, trzy ptaszki śpiewają.
Na tej lipuńce, na tej zielonienkiej, trzy ptaszki śpiewają.
To jest nie ptaszki, a jerodne bratowie.
Oni śpiewają, z sobą rozmawiają o tej młodej dziewczynie.
Oni śpiewają, z sobą rozmawiają o tej młodej...*

Kobieta: „Już będę tak chodzić całe życie, z rąk do rąk” – tak sobie myślałam. U jednych trochę, u drugich trochę. No, bo tak to było. Ja zaraz zostałam zapisana do Czerwonego Krzyża. I do Ukraińców taki był apel, że jak jest jakieś polskie dziecko czy w ogóle Polak, to żeby do obozu polskiego zgłaszali. Nie bardzo mnie chcieli wziąć, bo oni mieli swoje dzieci i swój głód, no ale przyłączyłam się i po suterynach i takich opuszczonych domach nocowaliśmy. I szczury tam były. Strasznie było, no ale to była wojna. To była wojna, trzeba było się z tym pogodzić.

Każdy się cieszył, że przeżył. Stamtąd do Hrubieszowa przyjechałam z tą rodziną, Wójciki się nazywali. I pewnego ranku przyjechała, proszę panią, do Hrubieszowa moja ciocia, mamy siostra. Też byli za Bugiem, wcześniej uciekli do Polski. Ubrana, wie pani, w jesioneczkę, miała lisa. Ja siedzę na takim ganeczku, obieram kartofle na obiad. „Terenu, to ty mnie wcale nie poznajesz?”. A ja mówię: „Proszę pani, ja pani wcale nie znam”. Także dopiero w '45 roku przyszłam, to już w maju czerwone piwonie kwitły, na Brzeziczki, do ojca rodziny. I na Brzeziczkach cała ta bieda, wszystkie przeżycia zaczęły ze mnie wychodzić.

Na całym ciele miałam wrzodzianki, nawet dzieci z Brzeziczek uciekały ode mnie. Strasznie byłam brzydka, bo w tych krostach. Doktor przepisał maść alba, to pamiętam jak dziś, alba maść. Później już się dobrze ułożyło u tego stryjka Persony. Ale na Brzeziczkach mieszkała też siostra mego ojca, Kowalewska. Nie miała dzieci. No, szkoła się skończyła i przyszła po mnie ta ciocia Kowalewska. Ciocia już miała pięćdziesiąt lat. Ja już byłam tak roztrzęsiona tymi przeżyciami, że zapomniałam tego ciepła matczynego, ja już o tym

wszystkim zapomniałam. Chociaż jak miałam swoje dzieci, to starałam się wszystkimi siłami, żeby im dać to ciepło, którego ja nie miałam.

Kobieta: (śpiewa) (akcent ukraiński)

Biała Kalina ćwiała, biała Kalina ćwiała,

już nasza dziewczyna u bram.

Proszę dać ojca i matki, proszę dać ojca i matki,

niech pobłogosławi.

Kobieta: I bez przerwy chodziły za mną takie myśli: „Dlaczego ja? A może ja zostałam jedna na to, żeby pojechać i odnaleźć te miejsca? Krzyże postawić?”. Chodziło to za mną dzień i noc. O niczym innym nie myślałam, tylko żeby tam pojechać. Więc pojechałam w '94 roku do Kowla do księży. No i księża mnie zawieźli na to miejsce, na Duliby, proszę pani. Po pięćdziesięciu dwóch latach pojechałam. No i kogo miałam się tam pytać? Mówię sobie: „Trzeba się starszych pytać, bo młode to co? Nie wiedzą”. Więc zatrzymuje się ten ksiądz i pytam: „Czy była tu wioska Niebrzydów?”. „Da, była, była” – odpowiada. „A mieszkał tu Persona?”. „Da, mieszkał. Dziewuszka jego tu u Nataszki naszej się chowała”. „To, tą dziewczuszką ja jestem”. Proszę panią, cud się stał na tych Dulibach. Jedziemy do tej Nataszy, ja wchodzę, a ona mnie poznała. Mówi: „Terenia, to ty?”. Ja mówię: „Ja”. No i wie pani, było wzruszenie, bardzo duże wzruszenie. Prosi mnie do mieszkania, ale ja tłumaczę: „Nie będę wchodzić do domu, bo ja jadę na swoje miejsce. Tylko musisz się z nami i pojechać”. No i dała swego szwagra, bo mąż jej umarł. I proszę panią, jedzie z nami ten szwagier, zawozi nas na to miejsce.

No cóż, krzaki, zarośla. Domu nie ma, tylko podmurówka, co była, różyczki rosną. Wspominam: „Tu studnia była, koło studni dwie jabłonki, takie ładne, czerwone”. „Da” – mówi. A my, proszę panią, na tej studni staliśmy, tylko ona zasypana i jej nie było widać. Tu z domu mamę wyprowadzili, no mniej więcej w tym miejscu, w tym miejscu mama została zabita. I w tym miejscu została pochowana. W rezultacie nic nie zrobiłam w tym dniu. Nic nie zrobiłam. Tylko miałam z sobą kwiaty, wsadziłam te kwiaty, gdzie mama leżała i tam, gdzie ojciec był pochowany. Silne wzruszenie. Rozchorowałam się, nic nie zrobiłam. 1 września jadę sama na tydzień i mówię: „Musicie mi pomóc, bo ja sama nic nie zrobię”. „Dobrze, pomożemy, co i jak chciałaś?”. Odpowiadam: „Płotek i krzyż”. Cały czas mi to w głowie

siedziało. Rano budzi mnie ta Natasza, 7:00 godzina, ja wzięłam proszki, bo bałam się, żebym nie dostała zawału. Budzi mnie, słyszę, jak mówi: „Pójdziem do takiego, co jest kierownikiem nad kołchozem”. I dodaje: „On jest charoszy człowiek, on wszystko ci pomoże”. Proszę panią, wchodzimy, no i ona tłumaczy mu po ukraińsku, że ja tu urodzona i rodzina została wymordowana, i chciałam postawić coś na tym miejscu. „Tam, na Personowojach”. A on mówi: „To ja w głowę zachodził, czego one się nazywają »Personowoje«. A to pani tato był Persona”. Ja mówię, że tak i że to miejsce nazywa się do dzisiejszego dnia Personowoje Pole. A on: „Ja zobaczę to miejsce i wszystko, co trzeba, ja pomogę”. I proszę panią, na 20 października już było wszystko gotowe. Pomnik, ogrodzenie, kwiaty zasadzone. Proszę, ja pokażę zdjęcia. Ten kierownik, Hryszczenko, najął autokar i kto chciał, bo to kawałek, no jakieś trzy, cztery kilometry od tych Dulib, to przyjechał z kwiatami. Bardzo ładnie. Cały czas modlili się z nami. No i był ten ksiądz z Włodzimierza. Odprawiła się msza święta. Przecież ja bym nic nie zrobiła, proszę panią. Tam wykopali fundament, cement poszedł, drut poszedł. Więc ten kierownik dał ciągnik, dał przyczepy, dał ludzi. Ci ludzie tam wszystko robili, ja się nawet nie dotknęłam. Myśmy pojechali, to wszystko było tak, jak pani widzi. To ja oniemiałam. Ja nie mogłam z siebie wykrztusić „dziękuję”, bo ja byłam zaskoczona tym, że mogli tak zrobić. Mnie ten pomnik kosztował tylko siedemdziesiąt pięć dolarów. Także wie pani, ja się później musiałam zrewanżować. I mówię do tej Nataszy: „No zaprosz ich wszystkich”. Zrobiłam przyjęcie, podziękowałam wszystkim. Każdemu jakiś upominek dałam. I każdy z taką sympatią podchodził do mnie w tych Dulibach. I te młodsze, i te dzieci nawet, jak szłam, to: „Dobry dzień, dobry dzień”. A ci starsi to szczególnie. To szczególnie. Przyszli, żeby chociaż mnie dotknąć. Jak oni się cieszyli, że mnie zobaczyli po tylu latach. To tak mnie to zbudowało. A ten dziadek do Nataszy mówił: „Pamiętaj, że Persona w lesie pochowany jest tu i tu. Jak kiedyś ktoś przyjedzie z Polski, żebyś mogła pokazać”. Jednak jakaś nadzwyczajna siła istnieje.

A teraz to już tak mi lekko jest żyć, bo już zrobiłam, co swoje, i mogę tak szczęśliwie umrzeć, bo moi rodzice nie zostali tam zapomniani. Ale jak pojedę, to widzę – tam prawie cała wioska została wymordowana. Tu mieszkały te, tu mieszkały te, tu mieszkały te. To idę, no świeczki nie postawię, bo to jest las, ale wszędzie stanę i odmówię zdrowaškę. I tam, tak jak u nas, gdy pójdzie się do lasu, to te skowronki na wiosnę śpiewają tak wesoło. A tam przecież nie jest

tak wesoło. Ja byłam trzy razy w maju. To jest najpiękniejszy miesiąc w lesie. No ale nie jest tam tak wesoło. Ja mówię do syna: „Patrz, patrz, jaka tu cisza, mnie jakiś taki strach ogarnia”. On mówi: „Dopiero teraz się mama boi?”. Ja odpowiadam: „Patrz, taki spokój, taki szum, ale taki żałosny ten szum. Kaziu, tobie też tak się przedstawia?”. „Mamo, tak, jakoś tak nie jest wesoło w tym lesie”. Mówię: „Bo ten las wyrósł na ludzkich kościach, na ludzkiej krwi, i dlatego on jest smutny”. I to jest prawda.

Kobieta: (śpiewa)

A gdzieś jedziesz, Jasiu?

Na wojenkę, Kasiu.

Tam daleko, na Ukrainie.

Zabierz mnie ze sobą, ja pojedę razem z tobą, ach mój miły Jasiu.

Zabierz mnie ze sobą, ja pojedę razem z tobą, ach mój miły Jasiu.

Gdzie będziesz składała, Kasiu moja mała?

Tam daleko, na Ukrainie, tam są gospodynie,

co pożyczą dla mnie skrzynie, ach mój miły Jasiu.

Tam daleko na Ukrainie, tam są gospodynie,

co pożyczą dla mnie skrzynie, ach mój miły Jasiu.



Tenisowe mistrzostwa Wołynia.

Fotografia grupowa uczestników zawodów.



Po traumie

Relacja **Witolda Kołodzyńskiego**, ostatniego ocalałego z rzezi kolonii Parośla, powiat Sarny - reportaż **Anny Lisieckiej**, Polskie Radio, Program 2.

TO BYŁA KOLONIA PAROŚLA, z jednej strony las, z drugiej strony łąki. I dalej pola orne. Tam toczyło się normalne życie. Z Ukraińcami były dobre stosunki, spotkania robili, jakies zabawy, nie było nic podejrzanego.

Kiedy zaczęło się coś dziać?

Styczeń 1943 roku. Przyjechała grupa Ukraińców na koniach, około dziesięciu, i objechali całą Paroślę, no i później nas zatrzymali i dopytywali, czy nikt tu nie przychodził, czy nikt nie przyjeżdżał.

Tłumaczyli, że są z partyzantki ruskiej. Bo oni się w tym przebraniu podawali jako partyzantka ruska właśnie, a to był w rzeczywistości wywiad taki. To było za niemieckich czasów, a oni już tam chcieli wcześniej działać, ale ruscy nie pozwolili i ich rozbroili. A jak przyszli Niemcy, to oni zgłosili do nich na służbę, do wojska, wzbogacili się o broń, więc byli przygotowani. Niemcy mówili, że tu jest gorzej niż na froncie.

No i nad ranem 9 lutego 1943 pukanie do drzwi, takie silne. Ojciec się zerwał, podleciał do okna, przyszedł z powrotem i powiedział do mojej mamy, że jakies wojsko: „No otwieraj, bo nic nie zrobisz”. No my się już pozrywaliśmy i muszę dodać w tym miejscu, że u nas taki piec chlebowy był, stale ciepły. Moja siostra była, Lila, i ja, starsza była u kuzynów - i my na ten piec usiedliśmy, a to było na wprost, i żeśmy ich wszystkich widzieli. Myśmy ich policzyli - tam było około szesnastu ludzi. Pierwsi przyszli jacyś tacy umundurowani, z gwiazdkami ruskimi, a później w normalnych, w tych ukraińskich truchłanach. No i wszystko poszło do dużego pokoju, wszyscy, tylko dowódca został i kazał zaraz słomy przynieść. I tam się zamknęli w tym pokoju, w ogóle nie wychodzili. Tylko ten ich dowódca stał w kuchni na warcie, a oni poszli spać i prawie cały dzień spali i nie wychodzili.

No i tak to trwało, nigdzie nie wolno było wyjść, nic. Ojciec szedł do obrządku, to on z tyłu za nim, ale mówił: „Możecie się nie obawiać, bo my jesteśmy ruską partyzantką, my was bronimy, Niemców chcemy stąd przegonić, ale musimy tu u was przenoćować jeden

dzień, a na drugi dzień my odjedziemy”. Własowców zaprowadzili do naszej sypialni, ale już rozmundurowani byli, tylko w bieliźnie, trzech ich było. To ten dowódca ich tam przesłuchiwał i tak to trwało do obiadu, takie dochodzenie.

I oni sobie chodzili jeszcze na narady i po obiedzie o słoninę dla siebie zaczęli tam dochodzić: „Czy macie słoninę – pytali – bo wojsko trzeba nakarmić?”. Ojciec mówił, że nie ma, a on poszedł do komórki i tam znalazł. I potem ojcu wyrzucił: „My walczymy o was, a wy żałujecie nam słoniny”, i zabrali ojca do pokoju sprawić mu lanie czy coś. I ja w tym momencie wyskoczyłem z tego pieca, gdzie dymiło, i na dwór pobiegłem. Zacząłem uciekać do sieni, ale padał śnieg. Wyleciał za mną i złapał mnie. Zakazano mi wychodzić. O dwunastej godzinie przychodzi do dużego pokoju, do mamy, i mówi: „Gdzie jest siekiera?”. Mama mówi, że jest siekiera. „To daj”.

Dała mu i on z tą siekierą poszedł do dużego pokoju i jakiś czas to trwało, i tak mordowali. Tych własowców, co zdjęli z warty w pokoju, tam w tym dużym pokoju, gdzie spali. I ten kamandir mówi: „Teraz sypialnia jest wolna i wy musicie tam iść, my was powiążemy, bo jak przyjdą Niemce i nie będziecie powiążane, to będą mieli pretensje, że wy podtrzymujecie kontakty. A tak, jak będziecie powiążane, to w porządku”. No to myśmy poszli do tej sypialni. Mama do ojca mówi: „I co, mocno cię tam pobili? „Nie, im nie chodziło o słoninę, im chodziło o broń”. I mój ojciec, który na wojnie był, jako wojskowy, karabin miał gdzieś schowany. Mundur wisiał, no i płaszcz też wisiał. Ten dowódca tak przymierzał, ale mówi: „To nie moje, nie będę tego ruszał”.

No i później, za jakąś chwilę, kazali nam się położyć. Stało łóżko, tu takie było przejście, tu dziadek i babcia, tu rodzice, mama i ojciec, a jeszcze była taka malutka dziewczynka w kołysce, tam dalej. To siostra moja była po jednej stronie kołyski, ja po drugiej, z lewej. Wszyscy położyli się, a oni kazali twarzą do podłogi, na ziemi. No i od tego momentu nic nie słyszałem, nic nie pamiętam. Przytomność straciłem. No ale jak ją odzyskałem, to oni jeszcze byli w domu. Wszystko wynosili, zabierali pierzyny, kołdry, wszystko, co tam było, ubrania, wszystko. Świnie, krowy, wszystko zabierali. I ja się przebudziłem cały krwią zalany. I myślę, co się stało. W tym czasie mama się odezwała takim chrypliwym głosem.

No i przyszedł jeden – to słyszałem – i zrobiła się cisza,

I słyszę, znowu się zbliża. Przyszedł, drzwi otworzył, ale tylko tak zerknął. Zamknął i to już koniec był, już pojechali. Ale ja jeszcze leżę,

nie wstaję, aż do momentu, gdy usłyszałem, że sanie odjeżdżają, bo to luty był, mróz, minus 30 stopni. Skrzypiały sanki, bo oni na sankach przyjechali. No i odjechali, a ja wstałem. Jak ja wstałem, to moja siostra też wstała. I mówię: „Lila, co ty, żyjesz?”. A ona: „A czemuż miałabym nie żyć?”. Ona była uderzona tym płaskim, a ja obuchem.

Czyli każde z was uderzyli tą siekierą?

Tak, siekierą. Mama takie grube czarne włosy miała. To miała je odcięte, o tu, rąbnęli ją tak strasznie ostrzem, a dzieci to tym tępym. Lila dostała tylko tak, że sama skóra była zdarta. A mnie to dokładnie uderzył. Mama jeszcze żyła, to przyszedł i ją dobił, to słyszałem. Ja cichutko leżałem. No myśmy powstawali, a w tej kołysce Bogusia, ta maleńka, jeszcze żyła. Siostra wzięła ją na ręce i mała dopiero zmarła.

Też uderzona?

Tak.

W czole?

Ja nie patrzyłem, bo nie mogłem patrzeć. No i strasznie nam się pić chciało, a musieliśmy przejść po trupach. Innego wyjścia nie było – przeszliśmy do kuchni, napiliśmy się wody. Drzwi pootwierane, było zimno, bo mrozy. Pozamykaliśmy wszystko i położyliśmy się spać. I rano myśmy powstawali i Lila mówi: „Idziemy zobaczyć do sąsiadów, do stryja”.

Wszędzie to samo, cała wieś wymordowana. Baliśmy się i dlatego z powrotem na ten piec weszliśmy, bo tam ciepło było. I Lila jeszcze tak jakoś zasłoniła tę zasłonę trochę. I siedzieliśmy tam cały dzień. I przyszli pierwsi Niemcy. Jeden karabinem zasłonę wziętą rzucił, a my myśleliśmy, że ta banda wróciła. Ale ja tak patrzę z boku i mówię: „Nie, to nie banda”. Umundurowane wszystko, broń jak należy. No i Niemiec zaczął zdjęcia robić. Nam porobił, później poszedł do sypialni i zrobił, potem tam do pokoju tych własowców, a oni leżeli tam nad brzegiem, poszwargotali coś, pogadali i poszli. Ale już cywile najechali.

Mój kuzyn był wśród nich, no i zaraz wszedł do mieszkania. Zobaczył nas, my nie chcieliśmy zejść. Tam takie ciotki przyszły, kuzyn mówi: „Chodź, zawieziemy do doktora”. A ja: „Nie, do twojego domu nigdzie nie pójde”. Ale w końcu mnie przekonali.

[męski głos]

Ja mam tylko jedno pytanie. Jak waszą rodzinę wymordowali Ukraińcy, to pan mówił, że został z siostrą sam w domu. Rodzice leżeli zabici, to ile dni byliście, że tak powiem, z tymi trupami?

Przez całą noc, aż do rana.

Wtedy miał pan 13 lat, tak? A siostra była trochę młodsza. Proszę mi powiedzieć, jakie były wasze odczucia, no bo rodzice zabici, a wy przeżyliście. Czy przyszło wam do głowy uciekać, czy iść do rodziny, czy zawołać o pomoc?

Człowiek był zszokowany. Ale i naprzeciwno w domu, na stole, też było dziecko – z ogórkiem w ręku, i tak siedziało na tym stole wryte. Jak Niemcy weszli, to było niesamowite przeżycie. Najpierw czułem, że to przyszli z powrotem Ukraińcy zbadać, kto jeszcze niezabity. Odwróciłem się w drugą stronę, do ściany, bo czekaliśmy na śmierć. No, po prostu na śmierć.

I jak przyszła wiosna, a z nią morderstwa, no to myśmy stworzyliśmy samoobronę. Wykopaliśmy taki duży schron. No, broń żeśmy mieli, bo kupowaliśmy ją od Niemca za jajka, za masło, za ser. Mieliśmy takiego naszego dowódcę, Borowskiego – on był naszym komendantem. Jak był już zbudowany ten schron, to ja tam na wieczór zwoziłem zawsze tych, co po hotelach mieszkali. Jak rano ich odwoziłem, to stawałem dalej trochę, to gospodarz szedł zobaczyć, bo tam mogli być Ukraińcy. No i Ukraińcy wreszcie napadli. Podeszli bliżej, tak koło 30–40 metrów, no i wszystkie domy podpaliłi. Wszystko się paliło. A Ukrainiec jeden też tam mieszkał, Szyrko, to jego dom zostawili, nie podpaliłi go, ale to tak na prześwit tego schronu. To któryś z łobuzów poleciał i podpalił tam. I oni byli widoczni. Bali się, dużo ich zginęło, bo byli na widoku, a dookoła tego schronu było pole. To w polu było budowane, żeby nie było jakichś zasłon, dzięki którym mogliby bezpiecznie podchodzić. No i oni postali tam z dziesięć, piętnaście minut, najdłużej z pół godziny. „Ne strelaj, ne strelaj, jeszcze się nastrelasz” – tylko takie głosy były.

[głos reporterki]

Strzelaliście?

Nie, tylko Antek Przybysz strzelał raz. A na drugi dzień wszystko spalone, nic nie ma. Trzeba było uciekać. Wszyscy pojechali do Antonówki. Tam stacja kolejowa była. Niemcy podstawili wagony węglarki, załadowali – i do Niemiec. Było życie, była wieś i jednej nocy wszystko znikło. Ukraińcy chcieli to wszystko spalić i żeby

znaku nie było. A jak pojechałem po raz pierwszy na Parośle po tylu latach, bo to były długie lata, wszystko poznałem – gdzie miedza, gdzie pola, łąki. Wszystko oni zasadzili lasem. I jeszcze grusza stała, bo tam były cztery grusze czy pięć. To jedna się zachowała i jeszcze stoi, po tylu latach. I stryjka sosna też stoi, a jest taka starowina.

[głos męski]

Jak pan jechał po tylu latach, to miał pan obawy, że znów się coś zdarzy, że spotka pan tych ludzi, którzy was mordowali?

Na pewno się bałem. No i była taka sytuacja, że był u mnie Szyrko w Antonówce. To był syn Szyrka, sąsiada naszego, który był w tej bandzie. Był w bandzie i Przybysze wydali Niemcom tego Szyrkę i Niemcy go głodzili. A syn został i nadal żyje. Ja go widziałem i chciałem się do niego odezwać, ale bałem się.